

## Kot Morski

### Wstęp

Postanowiłem, moi zacni ludzieńkowie, napisać o moich przodkach Wojszwiłtach, herbu Kot Morski. Zaczyna to rodzina z Wielkiego Księstwa Litewskiego się wywodząca. Godności wielkich Wojszwiłtowic nie piastowali ani nie odznaczyli się w dziejach świata, a to przez przyrodzoną naszej rodzinie wstydlivość i skłonność do usuwania się w cień nawet wtedy, gdy okoliczności same pchały ich w światła reflektorów. Znaleźli się wszakże i w naszej rodzinie tacy, których istnienie warto jest odnotowania. Przeto, będąc wprawdzie niewielkiego talentu i nieszczęśliwego zdrowia, postanowiłem o nich przypomnieć i tym samym przywrócić Wojszwiłtom należne im znaczenie.

Jest też i drugi powód. Od stuleci ciąży na naszym przodku i protoplaście Wojszu, zwanym także niekiedy Wojszwiłem, paskudne pomówienie, które wymaga stanowczego sprostowania. Wprawdzie jedyny znany mi osobiście krewny, Gorysław Wojszwiłło twierdzi, że nie ma, o czym wspominać, bo nikt już o tym nie pamięta, jednak ja myślę sobie tak: może i dziś nie pamięta, ale gdzie pewność, czy jutro sobie nie przypomni? Lepiej dać odpór zawczasu.

O co zatem chodzi z owym Wojszem czy może Wojszwiłem? Owóż, jak wszystkim wiadomo, podczas bitwy pod Grunwaldem był taki moment, kiedy wojska litewskie rzuciły się do ucieczki. Potem dzielni Litwini wrócili w najmniej spodziewanym momencie i walnie się do zwycięstwa przyczynili. Długosz i inni historycy nie wspominają jednak o drobnym, ale znaczącym dla naszej rodziny epizodzie. Grupa młodych wojów nie dosłyszała sygnałów wzywających do powrotu na pole bitwy i uciekała dalej, najpierw w większej kupie, a potem samodziśnię, aż wpadła na spienionych koniach do Wilna. Na czele jechał rosty młodzian, który już od bramy krzyczał o strasliwej klęsce pod Grunwaldem. Żal wielki zapanował w mieście, uderzono w nieliczne wtedy dzwony, rozległ się powszechny płacz kobiet, narzekanie starców, a wszyscy przyoblekli się w żałobne szaty. Pytano powszechnie młodzieńców, czy poza nimi ktoś z rzezi ocalał, ale odpowiadali, że nie można mieć takiej nadziei, bo niedobitki jak nic dogoniłyby ich po drodze, bo gdzie by miały zmierzać, jeśli nie do Wilna. Tu już powszechna żałoba zapanowała, jako że zrozumieli wszyscy, iż poległa większość mężczyzn ówczesnego Wielkiego Księstwa, zarówno bojarzy, jak i prości oracze.

Jakież było tedy powszechne zdziwienie, gdy do pogrążonego w rozpacz miasta przybył na czele swojej zwycięskiej armii książę Vytautas, zadowolony, roześmiany i pełen najlepszych nadziei na przyszłość. Na jego widok ów rosty młodzian i jego towarzysze

ponownie rzucili się do ucieczki i słusznie uczynili, bo jak nic nie dożyliby do wieczora. I tu tkwi sedno zagadnienia: otóż my, Wojszwiłowie twierdzimy, że ów młodzian zwat się Wojniłto i był protoplastą znanego powszechnie rodu Wojniłłowiczów. Wojniłowicze zaś, choć nasi krewni, twierdzą, że nazywano go Wojszwiłto i był naszego rodu protoplastą. Większość wierzy Wojniłowiczom, może dlatego, że jeden raz wymienił ich w swojej książce Sienkiewicz. A ja na to tak oponentom odpowiem: po pierwsze, gdyby ów Wojsz czy Wojszwiłto uciekł spod Grunwaldu, nie nadano by nam w roku pańskim 1413 herbu Kot Morski, który po dziś dzień dumnie nosimy; a po drugie – proszę spojrzeć na obraz Matejki przedstawiający ową bitwę. Ten krzepki Litwin usiłujący sięgnąć kopią Wielkiego Mistrza to wypisz, wymaluj Wojszwiłto. Tacy właśnie jesteśmy. Twarz pogodna, ale zawzięta, klatka piersiowa szeroka, nogi mocne, ręka silna i sprawna. Każdy niedowiarek może się na własne oczy przekonać, że nasz przodek nie tylko tam był, ale to on, nikt inny, usunął Wielkiego Mistrza z tego świata. Niech sobie Wojniłowicze gadają, co chcą.

## Rozdział I

### Agrypin Wojszwiłto

Postanowiłem przodków moich przedstawić w kolejności alfabetycznej, bowiem w dziejach naszego rodu żadnego nie da się doszukać porządku. Wiadomo, w życiu każdego jakaś wojna przytrafić się musi, a jeśli kto szlachcic, to może być pewien, że choć raz weźmie udział w bitwie, a może i w niej polegnie na chwałę umiłowanej ojczyzny naszej. I co po nim zostanie? Jeno imię, a czasem gawęda z dworu do dworu, z zaścianka do zaścianka wędrująca, przy miodzie i pieczystym opowiadana. Dlatego imię i owa historyjka krótka, często śmieszna, a czasem ponad wszelką miarę okrutna jest dla mnie najważniejsza.

Agrypin Wojszwiłto urodził się jako czwarty syn Jaropętka Wojszwiłty i jego żony Piechny z Daniłowiczów. Rodzina była zasobna, na dużej, otoczonej żyznymi polami wsi siedziała, ale to Agrypinowi żadnych perspektyw na przyszłość nie dawało. Jako czwarty syn ani majątku nie dziedziczył, ani w wojsku nadziei na wyższą szarżę nie miał, ani na księdza go nie kierowano, bo do tego trzeci syn był przeznaczony. Ponieważ jednak chłopak był żywy, radosny, dla wszystkich miły, zlitował się nad nim ojciec i w dwudzieste urodziny podarował mu matłą wioseczkę Baraniszki, która za lasami i bagnami leżała. Siadł tedy imć Agrypin na konia, pośledniej urody, ale wytrwałego, i do swego dziedzictwa podążył. Zastał tam chałup ze trzydzieści, a pośrodku dworek drewniany, nieduży, zapuszczony, ale jako człowiek pogodnego usposobienia ucieszył się, że mu z sufitu na głowę nie kapie, kazał dworek wysprzątać i w nim zamieszkał. We wsi był ekonom, który wszystkim zarządzał, młody dziedzic nie miał zatem nic do roboty, jeździł konno po polach, na kaczki albo głuszce się zasażać, w niedziele jechał do kościoła w położonych dziesięć kilometrów dalej Opitołokach i tak dzień za dniem mu mijał.

Kręcąc się po okolicy, poczynił pewnie obserwacje. Ziemia w Baraniszkach była całkiem dobra i dawała plon obfity. Wraz z ziemią i lud tutejszy był dorodny, zwłaszcza

kobiety, jedna w jedną proste, piersiaste, zgrabne, aż miło oko zawiesić. Poglądał na nie imć Agrypin z wielkim upodobaniem, aż na koniec nie wytrzymał, poprosił do siebie ekonoma i miodem zacnym go ugościwszy, rzekł:

– Dobrze mi tu, mości ekonomie, w Baraniszkach, jednej tylko mi rzeczy okrutnie brakuje.

– A czegoż to? – zainteresował się ekonom, maczając swe obwisłe wąsy w miodzie.

– Baby, a kogóż by? Sam tu siedzę jak palec, a młody przecie jestem i krew mam gorącą.

Zdziwił się ekonom, że dziedzic w tak prostej kwestii ogródkami zachodzi, zamiast swoim dobrem bez rozglądania się na boki rozporządzić, ale spytał.

– A która się mości dziedzicowi podoba?

– Ba. – Rzekł Agrypin. – Wszystkie mi się podobają.

Ekonom podrapał się w głowę.

– Mogą być i wszystkie – rzekł. – Jednakowoż wszystkim naraz pan dziedzic nie poradzi. Trzeba jakąś kolejność ustalić.

– A to już twoja głowa – rzekł Agrypin. – Wszakże jest inna kwestia. A co ich mężowie na to?

– Mężowie? – zdziwił się ekonom. – Nic a nic. Przez parę stuleci zdołali się przyzwyczaić. Taka to już ich chłopska dola.

Jakoż już następnego wieczora ekonom przyprowadził do dworu Nawojkę, dziewczynę młodą i piękną, z którą imć Agrypin barszkwował do białego rana, a gdy już całkiem opadł z sił, obiecał Nawojce czerwone trzewiki i zaraz na najbliższym jarmarku nabył takowe, i przez ekonoma dziewczynie postać. Od tego czasu co tydzień, albo i częściej, pojawiały się we dworze panny z Baraniszek i żadna nie wychodziła bez podarunku. Ich mężowie i narzeczeni uznali temperament dziedzica za dopust Boży, z którym trzeba się pogodzić jak z gradobiciem. Minął rok i imć Agrypin zawarł bliższą znajomość z wszystkimi mieszkankami Baraniszek i okolicy (wyłączając staruszki), a we wsi pojawiło się kilkoro dzieci, o których można byłoby śmiało powiedzieć „wykapany dziedzic”.

Nie mając w swym zasięgu żadnych więcej wieści, Agrypin znów zaprosił Nawojkę, rozpoczynając w ten sposób drugą kolejkę. Ekonom, człowiek biegły w rachunkach, sumiennie przypominał tej, na którą wypadało, o obowiązku wobec dziedzica i kobiety same już wędrowały do dworu, gdy się należyście ściemniło. Powiedzmy to otwarcie: wędrowały chętnie, ponieważ miłość z dziedzicem była, można by powiedzieć, lepszego rodzaju.

Zwykły chłop z Baraniszek załatwił ten rodzaj potrzeb w prosty sposób. Gdy go nasza ochota, zgarniał żonkę pod siebie, włożył na nią i czynił rzecz swoją uparcie a zawzięcie aż mu ulżyło. Były to chłopy duże i silne, toteż ich żony doznawały jak najbardziej ukontentowania. Z dziedzicem wszakże to było całkiem co innego. Agrypin nie rzucał się na nie, lecz w pierw prowadził do bani, gdzie łąziebna polewała niewiastę ciepłąką wodą, maściła ją nagusieńką różnymi olejkami i pachnącymi wodami. W bani było okienko, przez które Agrypin spoglądał na owe zabiegi i cieszył się

świeżością oraz urodą wybranki. Następnie prowadzono ją w samym tylko wianuszkach na głowie do łożnicy. Ale i tu dziedzic nie rzucił się na swą poddaną, lecz namiętnie całował w różne miejsca, osobliwie nieprzyzwoite i ową do takiego samego całowania zachęcał. A gdy doszło już do sedna zagadnienia, Agrypin był jak najdalszy od zawziętości i uporu. Przeciwnie, nie spieszył się, kroczek za kroczkiem doprowadzał niewiastę ku coraz to większej namiętności, aż jej uciechy słysząc było koło klombu dworek ozdabiającego. Dziedzic uczył także, że to, co mężowie robią zawsze tak samo, można celebrować na różne, nader sprytnie sposoby, także sięgając do innych miejsc niewieściego ciała niż owo z przyrodzenia ustanowione. Na dodatek Pan Bóg, nie dając imć Agrypinowi majątku i znaczenia w świecie, pobłogosławił mu w innej kwestii, dzięki czemu owe baranisz-kowskie Nawojki, Czechny i Miłoszki mogły być nad wyraz zadowolone.

Kobiety we własnym gronie lubią sobie opowiadać o pewnych sprawach, toteż wy-czyny dziedzica szybko zyskały szeptany rozgłos, a jego sława przekroczyła Baraniszki, dotarła do Opiotoków i rozprzestrzeniła się po całym powiecie. I nieraz zdarzyło się, osobliwie w czasie wojen, zajazdów lub sejmików, że po zmroku zajeżdżała pod dwór w Baraniszkach kolaska i wysiadła z niej jejmość o twarzy skrytej w cieniu welonu. Zaczynało się od pytań, jak się też kochanemu sąsiadowi żyje, jakże bezcenne zdrowie i tak od słowa do słowa konwersacja kończyła się w łożnicy. Agrypin był to człowiek poczciwy i skrupulatny, nikomu nie odmawiał, toteż gdy jejmość jeszcze przed świtem wsiadała do kolaski, jadąc do siebie, w rozmarzeniu rozpamiętywała to, co ją spotkało. I tak również w sąsiednich dworach poczęły się rodzić dzieciątka płci obojga dziwnie do imć Agrypina podobne.

Trwało to długo, bo lat dwadzieścia. Aż pewnego dnia Agrypin obudził się niespo-dziewanie w środku nocy, spojrzął w ciemność i pomyślał o śmierci. Myśl ta przeraziła go do tego stopnia, że zerwał się z łóżka, drżącą dłonią zapalił świecę i biegł z nią przez dwór, jakby pani kostucha już przybyła i gonila go zawzięcie z pokoju do pokoju. Wreszcie zmęczony opadł na fotel i szcękając zębami ze strachu, doczekał świtu. Od tego dnia myśl o śmierci uparcie powracała w najmniej spodziewanych momentach. Próbował usunąć ze swego umysłu panią z kosą, zatracając się w miłosnych igrasz-kach, ale niewiele to dało. Nawet gdy najbardziej rozpustna z jego poddanych, Czechna galopowała bez opamiętania na imć Agrypinie, jemu zdawało się, że śmierć wygląda z ciemnego kąta i kiwa złowroźnie w jego kierunkui kościstym palcem. Tak to opadły z Agrypina cała radość życia i temperament.

Nie jeździł już po polach, nie polował, nie zapraszał dziewcząt z Baraniszek, przy-jezdne panie z okolicy odprawiał, ledwie poczęstowawszy herbatą. Owszem, zdarzały mu się chwile nieodpartej pożądlivosti, ale tu całkowicie wystarczała Agrypinowi kucharcia.

Kucharcia była osobą trzydziestoletnią, urodziwą, postawną, która z racji panującego w kuchni gorąca z zasady nic pod spód nie wdziewała. Gdy Agrypina opanowały żądze, podnosił do góry liczne spódnice pochylonej nad kuchnią lub stołem kucharci i ruszał do ataku. Kucharcia traktowała to jako pańskie fanaberie, nie przerywała nawet roboty, a że ataki imć Agrypina były teraz krótkie i niepoważne, mruzczała na niego z niechęcią

i powracała do swoich kotletów, konfitur i różnych leczniczych naparów, których starzejący się dziedzic coraz chętniej zażywał.

Gołym okiem widać było, że Agrypin podupada. Wyrosła mu siwa broda, wychudł, pochylił się, mało zajmował się gospodarstwem, zamiast jeździć konno chodził po swych skromnych włościach pieszo. Powszechnie mówiono, że popadł w melancholię. Myśl o śmierci powracała do niego przez cały dzień w najmniej spodziewanych momentach. Nie czuł w sobie żadnej choroby, a jednak, patrząc na świat każdego dnia, żegnał się z nim i nigdy do tej pory pola i łąki otaczające Baraniszki nie wydawały mu się tak piękne.

Podczas jednej z wędrowek natknął się za polem należącym do Miłoszki i jej zawsze ponurego męża na niewielki pagórek. Oczywiście pagórek zawsze tam był, ale do tej pory nie wydawał się Agrypinowi godny uwagi. Teraz przeciwnie, zainteresował go. Wdrapał się na górę, by spojrzeć na ciągnące się po horyzont łąki i nagle zrozumiał, że czuje się spokojnie, błogo, a myśl o śmierci znikła, jak ręką odjął. Siadł na trawie i patrząc na rosnące u jego stóp polne kwiatki, trawy i zioła, rozkoszował się tym, że jest jakby w samym środku świata, nie ma w nim niepokoju ani troski, samo tylko światło i cicha radość.

Od tego dnia ledwie Agrypin się obudził – zawsze budziła go przerażająca myśl o śmierci – zjadał szybko śniadanie i szedł na pagórek. Kazał tam sobie zbudować wygodną ławkę z oparciem. W deszcz albo gdy nazbyt mocno świeciło słońce, trzymał nad sobą parasol. Kiedy nadszedły zimowe mrozy i śnieżyce, kazał sobie zbudować obok ławki domeczek ogrzewany piecem, z którego rura wychodziła przez boczną ścianę na zewnątrz. Obok pieca stał wyleniały fotel i okrągły stolik. I tak spędzając noc w domu (gdzie nie lubił wracać), a dnie na pagórku, przeżył Agrypin kolejnych lat dziesięć.

W swoje pięćdziesiąte urodziny, które na początku sierpnia przypadają, siedział sobie na pagórku, na ławce i patrzył w dal. Patrzył i patrzył, aż nagle ujrzał, że łąką zmierza w jego stronę starzec z siwą brodą, którego nigdy tu do tej pory nie widział. Agrypin wzdygnął się, bo choć przez cały czas patrzył w kierunku, z którego tamten nadszedł, nie widział go. Pojawił się, nie wiadomo skąd, jakieś dwadzieścia kroków od niego. Mimo siwych włosów i brody stary trzymał się krzepko, był dość wysoki, pleczysty, maszerował przez łąkę energicznie niczym jaki młodzieniaszek. Doszedłszy do pagórka, zagapił się na imię Agrypina i tak stał, czekając, nie wiadomo na co. Rozzłościło to nieco gospodarza, więc rzekł tonem cokolwiek grubiańskim:

– Pochwalony Jezus Chrystus.

– Pochwalony, pochwalony... – odpowiedział przybysz – Wyborną, widzę, masz tu waćpan ławczkę... Wygodna zapewne?

– Wygodniejszej na całym świecie nie masz – pochwalił się imię Agrypina.

– A czy można by spocząć na niej na chwilę? Kawał świata dziś obszedłem.

Agrypin spojrział na starca nieufnie. Szlachcic, nawet ubogi, musi postępować poważnie względem dopuszczania obcych do swojej ławeczki. Nie każdy jest ławeczki godny. Starzec nie miał na sobie stroju szlacheckiego, ale nie był też ubrany ani nie zachowywał się jak człowiek z gminu. Miał na sobie szatę luźną i dostojną, ale bez złotych guzów i łańcuchów, bez których żaden szanujący się biskup nie pokazałby się światu.

Nie znajdując prostej odpowiedzi na zadane przez starca pytanie, Agrypin wyduł wargi i rzekł:

– Naprzód wiedzieć chciałbym, z kim mam zaszczyt. Jak godność proszę?

– Pan Bóg sum. – Rzekł starzec i uśmiechnął się łagodnie.

– Kto?!

– Pan Bóg.

Agrypin wybałuszyl na przybysza oczy, a w jego głowie zawirowały najróżniejsze myśli. Przez chwilę wydawało mu się, że zwariował, ale w końcu myśli uspokoiły się i przemieniły w pytanie:

– Ten Pan Bóg, który stworzył świat?

– Ten sam.

Agrypin przesunął się na koniec ławeczki, robiąc Panu Bogu miejsce.

– Zapraszam, bardzo zapraszam... wasza... – przez dłuższą chwilę szukał odpowiedniego słowa – wasza Ekscelencjo.

Pan Bóg wstąpił na pagórek i rozsiadł się obok Agrypina. Przez dłuższą chwilę siedzieli obaj w milczeniu, patrząc na łąkę i las.

– Niczego sobie widok. – Rzekł wreszcie Pan Bóg. – Często tu przychodzisz, panie bracie?

– Codziennie. – Powiedział Agrypin. – Lato czy zima, świętek czy piątek... Jeśli wasza ekscelencja nie pogardzi, mam tu obok w domeczku gąsiorek z miodem...

– A czemu miałbym pogardzić? – uśmiechnął się Pan Bóg. – Miło będzie patrzeć na te łąki, sącząc szlachetny trunek.

Agrypin żwawo ruszył do domeczku i powrócił, niosąc gąsiorek i szklanicę.

– Szklanica jest tylko jedna – rzekł zmieszany. – Jeśli Ekscelencja pozwoli, będę ciągnął wprost z gąsiorka.

Pan Bóg skinął łagodnie głową i po chwili siedzieli ramię w ramię, sącząc przedni trójniak, który najwyraźniej i Stwórcy przypadł do gustu.

– To wasza Ekscelencja sam jeden stworzył cały ten świat? – zagadnął nieśmiało Agrypin.

– Nie tylko ten. – rzekł Pan Bóg. – Kiedy nocą spojrzysz w niebo, widzisz gwiazdy, prawda?

– Całe roje – potwierdził Agrypin, bo sierpniowe niebo nad Baraniszkami szczególnie było w gwiazdy obfite.

– Każda z nich to wiele różnych światów – Rzekł Pan Bóg. – A wszystkie sam, nie chwając się, uczyniłem.

Znów zapadło milczenie, ale po chwili Agrypin nie wytrzymał i ośmielił się zadać kolejne pytanie.

– I jakże to Ekscelencja takim ogromem zarządzać zdoła?

– W ogóle nie zarządzam – uśmiechnął się Pan Bóg. – Stworzyłem i jest. Żyją w tych światach różne istoty i każda sobie radzi, jak potrafi.

– A w kościele mówią, że nic bez woli Bożej stać się nie może.

- A co to jest kościół? – zainteresował się Pan Bóg.
- To taki budynek, gdzie zbieramy się co tydzień, żeby się modlić do waszej Ekscelelencji.
- Do mnie? – zdziwił się Stwórca. – A to po co?
- Żeby Wasza Ekscelelencja sprawił, żeby nam się wiodło, omijały nas choroby i inne nieszczęścia.
- Ale ja się tym wcale nie zajmuję – rzekł zdumiony Pan Bóg.
- W takim razie czym, jeśli wolno spytać?
- Niczym. Wędruję w przestrzeni, zajrzę to tu, to tam, popatrzę, czasem coś poprawię... Ta wasza... jak się nazywa to, na czym siedzimy?
- Ziemia.
- A właśnie, zupełnie zapomniałem... Ta wasza Ziemia leży na uboczu, z resztek już was stworzyłem, więc rzadko tu zachodzę... Ale coś sobie przypominam, że chyba niedawno posyłałem wam mojego syna...
- A tak – potwierdził Agrypin. – Był tu jakieś tysiąc sześćset lat temu.
- No właśnie, pamiętałem, że niedawno. Czegoś tam próbował was nauczyć, ale i tak nic żeście nie zrozumieli.
- To przez to – rzekł Agrypin, pochylając się do ucha Pana Boga. – Że wasza Ekscelelencja między Żydów go posłał.
- Żydów? – zdziwił się Pan Bóg. – A kto to są Żydzi?
- Jakże – obruszył się Agrypin. – Toż to naród wybrany.
- Aha. A kto go wybrał?
- Osobiście Wasza Ekscelelencja.
- Ja? Nie przypominam sobie.
- Ukazał się Ekscelelencja niejakiemu Mojżeszowi pod postacią gorejącego krzaka.
- Ja? – Pan Bóg najwyraźniej nie mógł sobie przypomnieć tego zdarzenia. – W sumie mogłem się ukazać... Czemu nie?
- Dał mu Ekscelelencja kamienne tablice z dziesięcioma przykazaniami.
- A tak, przypominam sobie – ucieszył się Pan Bóg. – Nie byłem pewien, czy zapamięta i na wszelki wypadek wykułem mu wszystko w kamieniu.
- I jeszcze kazał mu Ekscelelencja uciec z Egiptu i szukać ziemi obiecanej.
- I oni uciekli?
- Tak jest. A wasza Ekscelelencja sprawił, że otworło się przed nimi Morze Czerwone.
- O nie – rzekł Pan Bóg. – Z gorejącym krzakiem mogło się zdarzyć, tablice sam pamiętam, ale z morzem to niemożliwe.
- Dlaczego? Przecież Wasza Ekscelelencja jest wszechmogący.
- Co nie znaczy, że zajmuję się głupstwami. Sami sobie poradzili z tym morzem, a teraz rozpowiadają, że to ja.
- Pan Bóg tak się oburzył, że podniósł szklanicę do ust i opróżnił ją do dna. Agrypin natychmiast znów ją napełnił, pociągnął z gąsiora i westchnął z ukontentowaniem.

Znów zapadła cisza, którą przerwał Agrypin, pytając nieco obcesowo:

– Ale bisurmanie będą się smażyć w piekle, prawda?

– A kto to są bisurmanie?

– Skończone dranie i tajdacy. My, chrześcijany, wierzymy w Waszą Ekscelencję, a oni w całkiem kogoś innego.

– Jak to w innego? – zdziwił się Pan Bóg. – Nie ma żadnego innego. Jestem tylko ja.

– To właśnie im mówimy. – Rzekł zapalczywie Agrypin. – Jest tylko jeden Bóg.

– A oni?

– Oni też mówią, że jest tylko jeden Bóg.

– No to, o co chodzi?

– O to Ekscelencjo, że my mówimy, że ten jeden Bóg, co jest, to nasz, a oni, że ich.

– Ale to i tak jestem ja.

– No nie za bardzo. Wspólnego Boga mieć nie możemy. Wyróżniłszy ich ze sto tysięcy z tego powodu, a oni naszych z dziewięćdziesiąt.

Pan Bóg zamyslił się.

– Nie bardzo cię, panie bracie, rozumiem... Dlaczego nie możecie mieć wspólnego Boga?

– Bo ani my, ani oni się na to nie zgadzamy.

– Czemu?

– Bo kiedy dochodzi do bitwy, to my się modlimy o zwycięstwo do naszego Boga, a oni do swojego.

– Przecież już ci tłumaczyłem, że jestem jeden.

– Ale po którejś stronie musi się Ekscelencja opowiedzieć. W tym wypadku po naszej.

– Nie opowiadam się po żadnej stronie. Nic mnie wasze bitwy nie obchodzą – oburzył się Pan Bóg.

– Akurat uwierzę. To dlaczego myśmy ich wyróżnił sto tysięcy, a oni naszych tylko dziewięćdziesiąt? Bez pomocy Ekscelencji taka rzecz stać by się nie mogła.

Pan Bóg umilkł i zapatrzył się na tąki przed sobą. Zrozumiał, że choć jest wszechmogący, w żaden sposób nie zdoła przekonać Agrypina, że jego rola w świecie jest zupełnie inna, niż się dziedzicowi Baraniszek wydaje. Agrypin zaś ze złością zagapił się w czubki swoich butów i zastanawiał się, czy naprawdę siedzi obok niego Pan Bóg, czy zgolał ktoś inny. Z tej złości postanowił wrócić do kwestii kary za grzechy.

– Wszystkich bisurmanów należy strącić do piekła – rzekł.

– A co to jest piekło? – spytał Pan Bóg, którego uwaga szlachcica wyrwała z zamyslenia.

– No przecież to Ekscelencja je stworzył – zdumiał się Agrypin. – Jest tam pełno diabłów, którzy pieką grzeszników na wolnym ogniu.

– Dlaczego?

– No to jest przecież kara za ich grzechy.

– Nie ma żadnego piekła – rzekł Pan Bóg.



Agrypin poczuł się bardzo rozczarowany faktem, że piekła nie ma, choć sam nieraz się obawiał, że tam trafi.

– No, ale niebo chyba jest? Wie Ekscelecja, takie specjalne miejsce, gdzie panuje wieczna szczęśliwość, śpiewają chóry anielskie i tak dalej.

– O niczym takim nie wiem. – Oświadczył Pan Bóg.

Agrypin przeraził się na dobre. Wyglądało na to, że jego przerażenie było uzasadnione.

– Czyli po śmierci... to już nic? Zupełnie nic? – spytał drżącym głosem.

– Dlaczego?

– No, bo skoro nie ma piekła i nieba, to co się stanie, kiedy ja już... Ekscelecja rozumie?

– Doskonale rozumiem – uśmiechał się Pan Bóg. – No cóż, twoje ciało wędnie, sam to na pewno zauważyłeś. Jesteś jak liść, który wiosną jest giętki, sprężysty, beztrudnie tańczy w podmuchach wiatru, a potem staje się piękny, pełen barw, ale jednocześnie usycha, jest coraz bardziej kruchy, w końcu ledwie się trzyma swojej gałązki.

– To właśnie mnie, Ekscelecjo, najbardziej przeraża.

– W końcu twoje ciało nie chce ci już dalej służyć, ale twój duch...

– Jest we mnie? – z nadzieją spytał Agrypin.

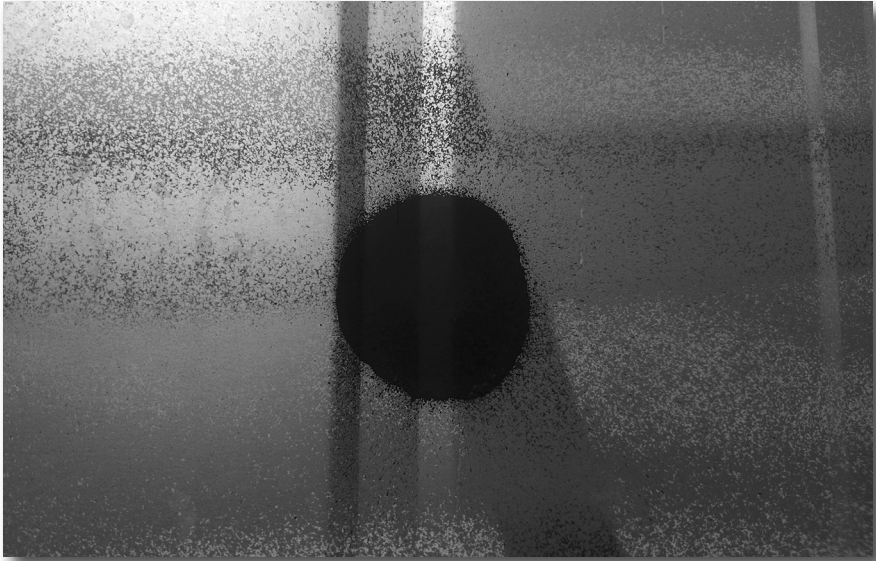
– A jakże. Nic we wszechświecie nie umiera ostatecznie. Więc duch twój wyzwolony z ziemskich ograniczeń ulatuje.

– Tam? – spytał Agrypin, wskazując niebo.

– Gdzieś tam. Wędruje przez galaktyki, aż odnajdzie sobie inną formę istnienia.

Agrypin spojrzał na ciągnące się po horyzont łąki i poczuł, że sływa na niego spokój i ukojenie, a gdy zwrócił się w stronę Pana Boga, by poruszyć kolejną ważną kwestię, spostrzegł, że siedzi na łące sam.

Wiele razy przy różnych okazjach opowiadał Agrypin o swojej rozmowie z Panem Bogiem, ale na ogół nie traktowano go poważnie. Jedni twierdzili, że zmyślił sobie to wszystko, inni, że zasnął na łące i Stwórca mu się jedynie przyśnił, jeszcze inni, że doznał od nadmiaru słońca udaru i popadł w majaki. Daremnie Agrypin zaklinał się, bił w piersi, był gotów przysięgać na Matkę Boską Ostrobramską – nikt mu nie wierzył. Dlaczego? Ponieważ wszyscy uważali, że Bóg z opowieści Agrypina Wojszwyły nie przemawiał jak prawdziwy Pan Bóg. Ludzie wiedzą o Panu Bogu to i owo i nie dadzą się tak łatwo oszukać. Jedną wszakże korzyść z tego spotkania dziedzic Baraniszek odniósł: bliski obłędu strach przed śmiercią opuścił go i więcej nie powrócił, nawet wtedy, gdy blisko dwadzieścia lat później, pewnego sierpniowego dnia umarł, siedząc na łące i patrząc na łąki. Twarz zmarłego była spokojna, pogodna, widać było, że odszedł pojednany z Bogiem.



Fot. Anna Matysiak